

Władysław Loranc
Felieton

Powoli, krok za krokiem przebija się do świadomości społeczeństwa prawda o ekonomicznej kondycji kraju, o celach sił trzymających w nim władzę, o kompetencji ekip powoływanych przez elektorat do administrowania państwem w trzeciej już dekadzie transformacji. Na codzień ludzie mają do czynienia z barwnymi obrazkami, których jedyną racją bytu jest wywołanie emocji. Obrazki mają się podobać i sprzyjać zachowaniom charakterystycznym dla tłumu. Nawet msza nabiera znaczenia dopiero wtedy, gdy dzieje się na stadionie sportowym lub na placach. O tym doskonale wie dyrektor Rydzyk i jego akolici. Tej logice ulegają tłumy, lecz nie liczy się z nią rzeczywistość gospodarcza, socjalna i te aspekty kultury, od których zależy styl i sposób życia. W tych sferach nie decydują sztukmistrze od układania barwnych obrazków. Rządzą w nich inne prawa, dzięki którym prawdy zniewolić się nie da. Spychana do podziemia buntuje się i wścieka, a gdy ciśnienie staje się zbyt duże, wybucha. Na powierzchni zachowuje się jak Golem, niszczy wszystko i wszystkich, jest ślepa. Katastrofa pod Smoleńskiem boleśnie nas o tym przekonała. W polityce błąd nie może liczyć na zapomnienie. Tu prawda jest nie tylko sprawiedliwa, lecz bywa i rychliwa. Do lekcji wynikającej z tego przeżycia będziemy wracać. Tej pewności dając wyraz, przedstawiam czytelnikom naszego pisma dwie refleksje i jeden wniosek do przyszłego podsumowania,

„Prawo i Sprawiedliwość” odbudowując międzywojenne państwo polskie pod mylącą wyborców nazwą „IV RP” posłużyła się tym razem kostiumem inteligenckim, a nie jak wówczas, szlacheckim. Nowa scenografia z wszędzie obecną flagą narodową nie zapobiegła powrotowi ostrych napięć socjalnych. Nie powstrzymała prób karykaturalnej rekonstrukcji rządów silnej ręki z wojskiem w roli głównej. Jak w tych realiach funkcjonuje prawo demonstrował p. Ziobro przekonując swoją partię, że sugestywnie sformułowany zarzut przestępstwa zwalnia od żmudnego i medialnie nieciekawego udowadniania winy. Jaka w rekonstruowanym modelu państwa ma być sprawiedliwość demonstrował szef Agencji do zwalczania korupcji, którego nie raził fakt, że jego pretorianie otrzymywali nagrody w wysokości 150 tysięcy złotych, a policjant bezpośrednio walczący z gangsterami otrzymywał 800 – 1000 złotych. Elita PiS-u przyzwyczajała do myślenia, że liczy się cel, efekciarski „dowód”, że idzie się w jego stronę, a mniejsze znaczenie ma duch i litera prawa oraz zasady, bez których dobry cel nie ma żadnych szans.

Być może szok po rozbiciu rządowego samolotu przerwie budowę „IV RP”, czyli politykę ekshumacji wad narodowych, których źródłem jest takie oto przekonanie prawicowej elity: „Państwo wtedy jest polskie, gdy jest nasze, czyli szlacheckie (dziś oczywiście mówi się inteligenckie).

Druga refleksja nad przeżytą katastrofą dotyczy kościoła, a dokładniej jego szokujących zachowań. Powiem wprost, jeszcze nigdy po 1939 roku hierarchia nie uległa tak panikarskim nastrojom, by odłonić swój lęk przed utratą prestiżu i swe lekceważenie prostych ludzi, oczekujących od kościoła nie tylko zapewnienia klucza do raj, ale ochrony szczególnego znaczenia moralnych norm w życiu osób i społeczeństwa. Uroczyste celebrowanie mszy żałobnej przez cały episkopat na Placu Zwycięstwa było zawłaszczeniem roli interreksa, przed czym przestrzegał Jan Paweł II. Kazanie prymasa Muszyńskiego w Warszawskiej Archikatedrze przypomina zapomnianą już po 1956 roku nieporadność politruka. Szokiem po szoku była przede wszystkim decyzja, by Prezydenta, za życia szamocącego z uwzględnianiem racji stanu wykonywaniu przy wykonywaniu obowiązków głowy państwa pogrzebać na Wawelu, co prawda

w przedsionku krypty J. Piłsudskiego, ale jednak w miejscu, jak to mówią w kościele, sanktuaryjnym. Zabrakło choćby gestu wątpliwości czy oporu, do jakiego przed wojną był zdolny abp Sapieha, gdy wymuszano na nim przyjęcie na Wawel prochów Naczelnika Państwa. Po tym przeżyciu często rozmyślam, jak doszło do tego, że w czasach Oświecenia, gdy uchwalano Konstytucję 3-ciego Maja, w obozie reform byli tacy księża, jak bp I. Krasicki, S. Konarski, S. Staszic, H. Kołłątaj, a w epoce demokratycznej transformacji postawę hierarchów kościoła kształtuje o. Rydzyk, ksiądz Isakiewicz-Zalewski, biskup przemyski czy biskup kielecki. Co znaczy ta ewolucja?

Pora na sformułowanie wniosków. To, co w Polsce powstało ma niewiele cech ustroju demokratycznego, a znacznie więcej właściwości oligarchii. Lud nie ma władzy, bo nie ma wpływu na kondycję kapitału i na realną ochronę godności człowieka pracy. Wpływ obywateli za pośrednictwem aktu wyborczego jest wątki i krótkotrwały. Przekonujemy się, że ludzie administrujący państwem polskim w małym stopniu są naszymi plenipotentami, a w niepokojąco dużym rzecznikami instytucji globalnego kapitalizmu. Zagrożeń, które stąd wynikają nie równoważy troska państwa o najchętniej cytowane wartości; „Bóg - naród - życie od poczęcia do naturalnej śmierci”.

Te wartości tak ujęto, by uzasadniona była sugestia swoistego uzupełnienia Dekalogu jedenastym przykazaniem: „Gdy zepsuciu ulega cała kultura, moralni przywódcy muszą rządzić narodem wbrew jego woli”. A takie właśnie credo lansują zwolennicy amerykańskiej rewolucji konserwatywnej. W Polsce patrzy w ich stronę przede wszystkim PiS. Dlatego aspirującemu do roli prezydenta J. Kaczyńskiemu warto przypomnieć, że nawet wartości uznawane za absolutne nikogo nie uprawniają do wyłączenia obywatela z jego konstytucyjnych praw.

Jeśli tradycja ruchu „Solidarność” cokolwiek jeszcze znaczy w Polsce, to wśród tych, którzy powinni o tym przypominać musi znaleźć się hierarcha kościoła katolickiego. Jeśli będzie inaczej, zobaczymy, co tam komu w duszy gra? **Władysław Loranc**, *dr humanista, historyk*